

"2x7000 - Pamir Expedition 2007" - szczęście i dramat

9.08. 2007 - Pik Korżeniewskiej. Dzień piękny, świeci słońce, a jednak pamiński wiatr zaczyna stawać się uciążliwy. Siadamy na chwilę i ubieramy ciepłe kurtki. Idący dotychczas za nami Rosjanie wyprzedzają nas i znikają za przełamaniem terenu. Ku naszemu zdumieniu po chwili ukazują się znowu, skacząc i wrzeszcząc z radości. A więc to już szczyt! A my tu urządzamy sobie "piknik" tuż poniżej. Zbieramy się natychmiast i prawie biegiem docieramy do upragnionego wierzchołka. Tak! Jesteśmy na Piku Korżeniewskiej! Chwile radości, sesja zdjęciowa i... może trochę zbyt prozaiczna w tak podniosłym momencie myśl - że już jutro w bazie prysznic, pranie, normalne jedzenie. Po prostu pełnia szczęścia!

21.08.2007 - Pik Somoni. Za nami dni niepogody, torowania w głębokim śniegu, ciągłej gry z mogącymi zejść w każdej chwili lawinami. Dziś wreszcie wypogodziło się. Dzień byłby idealny na zaatakowanie szczytu. Cóż z tego, kiedy my się już do tego nie nadajemy. To odwrót, chcemy po prostu się stąd wydostać. Pozornie nic trudnego, ale po trzech dobach, spędzonych na wysokości niemal 7000 metrów, nogi wciąż się płaczą a każdy krok wydaje się ważyć tonę. W dodatku żeby zejść z Pamirskiego Plateau do bazy trzeba najpierw podejść na szczyt Żebra Borodkina. Dać sobie spokój, usiąść, zdrzemnąć się... Tylko że to oznaczałoby zostać tu już na zawsze, a to perspektywa niezbyt zachęcająca. Po prostu dramat!

Cała historia zaczęła się około rok temu po sukcesie, teraz przemianowany na Pik Niepodległości (7134 m n.p.m.). Pierwszy raz w Pamirze, pierwszy raz w Azji, dla niektórych pierwszy raz w górach wyższych od Alp. Ledwie przyjechaliśmy do Polski, już wiedzieliśmy, że tam wrócimy. Ciągnęły nas głównie góry, ale też orientalny klimat azjatyckiej części dawnego ZSRR. Wyprawa na Pik Korżeniewskiej (7105 m n.p.m.) oraz wciąż bardziej znany pod dawną nazwą Piku Kommunizma Pik Somoni (7495 m n.p.m.) była kontynuacją pamińskiej przygody. Zdawaliśmy sobie sprawę, że rok 2006 był wyjątkowy - pogoda na ogół dobra, śniegu mniej niż zwykle. Tego, jak perfidne mogą się okazać te przepiękne skądinąd góry, mieliśmy dopiero na własnej skórze doświadczyć.

Na razie stawialiśmy czoła wyzwaniom organizacyjnym. Przede wszystkim należało ustalić skład. Ostatecznie w wyprawie wzięły udział 4 osoby: Tomek Borowiec, Maciek Westerowski, Jacek Żebracki i ja. O rejonie, w którym mieliśmy działać, wiedzieliśmy niedużo. W latach 2005 i 2006 odbyły się tam dwie polskie wyprawy; poza tym naszych rodaków nie było w tych okolicach od czasów rozpadu Związku Radzieckiego. Przyczyną była trudna sytuacja polityczna oraz wojna domowa w Tadżykistanie, gdzie leżą oba szczyty. Jechaliśmy zatem w nieznane.

Głównym problemem okazały się oczywiście finanse. Jedyne sensowny sposób dotarcia do bazy to bowiem śmigłowiec, zaś w całym Tadżykistanie helikoptery są dwa i to obydwa w posiadaniu tej samej agencji turystycznej. Jej "pakiet minimalny", do którego wykupienia zostaliśmy zmuszeni, stanowił większą część kosztów wyjazdu. Wizy, bilety lotnicze - nic nie było proste. Na szczęście w kwestii sprzętu wsparli nas sponsorzy. Firma Warmpeace wyposażyła nas w polary i spodnie, Odlo w bieliznę termoaktywną, Viking w rękawiczki oraz maski, Marabut w namiot bazowy Axum, dostaliśmy też ogrzewacze chemiczne Warmers. Sporo pomogły nam ponadto patronujące wyprawie



organizacje: Klub Skialpinistyczny "Kandahar" oraz Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich w Katowicach, jak również liczni patroni medialni.

Nareszcie 22. lipca - dzień wyjazdu. Póki co wszystko przebiegało zgodnie z planem i już nazajutrz byliśmy w Tadżykistanie, w Duszanbe. Jak na stolicę najbiedniejszej z byłych republik ZSRR przystało, miasto okazało się nieduże, biedne, miejscami przypominające raczej wioskę. Mniej tu barwnie niż w Kirgizji, ale za to atmosfera bardziej orientalna. Ulokowano nas wraz z innymi wyprawami w prywatnym gospodarstwie tadżyckiej rodziny. Na miejscowym bazarze nakupiliśmy jedzenia na miesiąc akcji górskiej, po czym na drugi dzień rozklekotanym UAZ-em udaliśmy się do Dżirgital, skąd dalej mieliśmy lecieć śmigłowcem. Ponieważ w odwiedzionym przez nas rejonie Tadżykistanu, poza nielicznymi, obecnie zrujnowanymi, drogami, pamiętającymi Związek Radziecki, główną nawierzchnią jest szuter, kamienie lub zupełne bezdroża, nasza podróż była urozmaicona. Przejeżdżanie kilkudziesiąt centymetrów od przepaści czy pod skarpą, z której niekiedy spadały kamienie, mijanki ze stadami bydła - to wszystko niestraszne było naszemu kierowcy, z którym przemierzaliśmy kultową Pamir Highway. W Dżirgital, dawnym sowieckim kurorcie, ulokowano nas w opustoszałym budynku przy lotnisku. Kolejnego dnia, po bardzo widokowym locie helikoptrem, byliśmy już w malowniczo położonej i komfortowej bazie.

Rozpoczęliśmy działalność na Piku Korzeniewskiej. Po pierwszych wyjściach aklimatyzacyjnych i wypoczynku w bazie wynieśliśmy depozyt do znajdującego na 5100 m n.p.m. obozu I. Dotarcie do niego okazało się wcale nie łatwe. Byliśmy jedną z pierwszych wyruszających w bieżącym sezonie wypraw. Droga przez lodowiec nie była jeszcze wytraserowana, stare liny poręczowe na skałkach pourywane.



Po wyniesieniu drugiego depozytu oraz dniu odpoczynku w jedyńce, wybraliśmy się do położonego na 5800 m n.p.m. obozu II. Tutaj trasa była urozmaicona niemal od pierwszych metrów - lodowcowy potok, niosący kamienie, pionowa skałka z poręczówką, której nie należało ufać. Powyżej pośredniego obozu na 5300 m n.p.m. zaczynał się śnieg. Teraz już trzeba było iść w rakach i uprząży. Strome podejście, pełen szczelin trawers i wreszcie główna "atrakcja" - ok. 30-metrowa miejscami pionowa lodowa ścianka. Naprawdę trzeba się było niemało namęczyć, żeby ją przejść. Ubezpieczająca ściankę poręczówka trzymała się na dwóch śrubach, które co jakiś czas się obluzowywały. Na szczęście stanowisko regularnie poprawiał Tomek.



Dalej liny poręczowe stromym zboczem prowadziły aż do drugiego obozu, położonego na wciśniętej pod skalną ścianą, pozbawionej słońca, brudnej platformie, szerokiej zaledwie na jeden namiot. Nieprzyjemne miejsce. Nawet do WC chodziło się wpiętym w poręczówkę. Po zejściu do jedyńki po drugi depozyt i noclegu w dwójce, wyszliśmy założyć obóz III. Trawers, podejście, trawers, podejście, teraz już cały czas wzdłuż poręczówek, i



wreszcie wyjście na grań. Niektórzy atakują szczyt już stąd, jednak miejsca na namiot tu mało i bardzo wieje. Po pokonaniu skalnej ścianki i śnieżnej grani doszliśmy więc do właściwej trójki na 6400 m.n.p.m. Stały tu dopiero 2 namioty. Lokatorzy żadnego z nich nie próbowali zmierzyć się ze szczytem, czekając aż najpierw zrobią to ci drudzy i przetorują trasę. Nam zależało na dobrej aklimatyzacji, więc na kilka następnych dni zeszliśmy na odpoczynek do bazy.



Wreszcie nadszedł czas wyjścia na atak szczytowy. Przebyliśmy tą samą co poprzednio trasę: jedyńka, dwójka, trójka. 9. sierpnia, gdy ruszaliśmy z ostatniego obozu na szczyt, nie było tak zimno jak zwykle. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że oznaczało to ostatni dzień dobrej pogody. Póki co było słonecznie, trasa przetorowana. Po 4,5 godzinach wspinaczki granią, podobną jak poniżej trójki, z tym że nie zaporęczowaną, ok. 11:30 całą czwórką stanęliśmy na szczycie. O 14:00, po bezproblemowym zejściu, byliśmy już w trójce i jeszcze tego samego dnia zeszliśmy do jedyńki, po drodze likwidując obóz II. Wieczorem góry zakryła mgła, zapowiadając kłopoty dla wszystkich, którzy zostali u góry - między innymi naszych kolegów z drugiej polskiej grupy. Na szczęście później udało im się zdobyć szczyt i zejść cało.

Po męczącym zejściu do bazy z ponad 30-kilowymi plecakami nadszedł czas trudnych decyzji. Akcja na Korżeniewskiej mocno osłabiła nasze siły i zdrowie. Pogoda wciąż była beznadziejna. Na Pik Somoni nikt jeszcze w tym roku nie wszedł, a przetorowaną część trasy zasypał świeży śnieg. Ostatecznie z naszej grupy zdecydowaliśmy się pójść tylko Tomek i ja. Mając aklimatyzację mogliśmy zmierzyć się z górą w stylu alpejskim.



Bazę opuściliśmy - zgroza - trzynastego. Z nami poszło jeszcze dwoje Rosjan. Wyszliśmy wieczorem, aby po noclegu u podnóża Żebra Borodkina nad ranem przejść odcinek najbardziej narażony na lawiny. Nazajutrz szło się nieźle, skalne i śnieżne odcinki przeszliśmy bez problemów. Gdyby tylko nie te gromadzące się chmury... Zaplanowany jako cel tego dnia obóz na 5300 m.n.p.m. minęliśmy koło południa, więc w czwórkę postanowiliśmy iść wyżej. Do następnego obozu na 5800 m.n.p.m. nie zdołaliśmy jednak dojść. Nasilający się opad śniegu zmusił nas do biwaku 100 metrów poniżej.

Śnieg padał całą noc. Do rana zasypał ślady, trasery, poręczówki. Szczelin też nie było widać. Dobrze, że poprzedniego dnia nie zostaliśmy na 5300 - wykorzystaliśmy ślady, póki były. Teraz torowaliśmy na zmianę. Po kolana, po pas, a gdy stok był stromy i śnieg się osypywał, nawet po szyję. W końcu w oddali ujrzeliśmy dwie sylwetki i namiot. Zwidy? Nie, to dwaj Azerowie, którzy z bazy wyszli dzień przed nami a teraz tu utknęli. Wyszli nam naprzeciw. i już po chwili wykończeni rozbijaliśmy namioty na ciasnej półeczce pod serakiem. Przez cały dzień zrobiliśmy tylko 300 m przewyższenia...

Po ciężkiej nocy, podczas której pyłowe lawinki niemal zasypały nasz namiot, w końcu pogoda się poprawiła. W szóstkę przekopaliśmy się do szczytu Żebra Borodkina. Pod sobą widzieliśmy Wielkie Pamirskie Plateau, ludzi, namioty, ale po opadach droga zejścia nie była wytyczona. Zeszliśmy więc "na wycucie" stromo na wprost, omijając obrywy, szczeliny i jakimś cudem nie wywołując lawiny.

Po noclegu na Plateau w sumie w 8 osób z różnych krajów wyruszyliśmy, aby strawersować Pik Duszanbe (6995m.n.p.m.) i dojść do przełęczy, z której wychodzi się na szczyt Somoni. Z czasem torowanie wykończyło wszystkich. Zaczęło sypać, na trawers było zbyt lawiniasto i już 10 godzin szliśmy do góry. Zrobiło się późno, zimno, teren niebezpieczny, nikt już nie wiedział, jak iść. Ledwo powłócząc nogami twardele ze Wschodu poszli jednak dalej, a my z dwójką Rosjan rozbiliśmy się blisko szczytu Duszanbe. Nawet nie byliśmy w stanie nic ugotować.



Rano ruszyliśmy na atak szczytowy, ale wkrótce zawróciliśmy, wykończeni ostatnimi dniami i postanowiliśmy po odpoczynku pójść nazajutrz. Mieliśmy dopiero się przekonać, że na tej wysokości już nie można się zregenerować... Nazajutrz do odwrotu zmusił nas silny wiatr, a nasi niedawni towarzysze, wykończeni i poodmrażani po zdobyciu szczytu, zeszli na dół. Po trzecim noclegu w "strefie śmierci" o szczycie już nie mogło być mowy. Zabrakło sił, zwłaszcza mnie, a w dodatku znowu wiało. Tomek miał jeszcze na tyle motywacji, aby zdecydować o odwrocie. W trudnym wycofaniu towarzyszył i pomagał nam samotny Rosjanin, który też zawrócił z powodu wiatru.

Po nocy na Plateau było już lepiej. Jednak na szczyt Żebra Borodkina szliśmy bardzo powoli. Dopiero schodząc z niego odżyliśmy: zaczęliśmy rozmawiać, śmiać się, robić zdjęcia. Następnego dnia, po noclegu na 5100m.n.p.m, dotarliśmy do bazy. Prawie nikogo już w niej nie było - w tym sezonie złej pogody na Pik Somoni zdecydowali się iść tylko nieliczni.



Przed odlotem helikoptera ukryłam w bazie depozyt liofilizowanego jedzenia. "Polish Pamir Expedition 2008" - głosi etykieta. Trzeba będzie wyrównać rachunki z Somoni. Na zakończenie tutejszego sezonu "załapaliśmy się" jeszcze na huczne przyjęcie z obsługą bazy, po czym trzeba było jechać do cywilizacji. Ale za rok tu wrócimy...

Wyprawa "2x7000 - Pamir Expedition 2007" mogła dojść do skutku dzięki wsparciu następujących firm i instytucji: Magazyn Turystyki Górskiej n.p.m., Klub Skialpinistyczny "Kandahar", Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich, Warmpeace, Odlo, Viking, Marabut, Warmers, EArchitekci.pl, Skitouring.pl, Summit-Asolo.pl, Radio eM, W Górach, Tygodnik Podhalański, Dziennik Zachodni, Dziennik Polski, Wspinanie.pl, Turnia.pl, SwiatSportu.pl, SwiatPodrozy.pl, Sparing.pl, E-gory.pl, Geozeta.pl, GorskiSwiat.pl, Gory.pl, Turystyka-Gorska.pl.